

Wreszcie po pięciu miesiącach mojego życia, kiedy to nie potrafiłem napisać nic z czego byłbym zadowolony, i których żadna siła mi nie wynagrodzi, mimo że wszystkie miałyby ten obowiązek, przychodzi mi na myśl aby znów zagadnąć siebie samego. Na to, o ile tylko naprawdę zadawałem sobie takie pytania, reagowałem zawsze, tutaj zawsze znalazło się coś do wymłócenia, z tej sterty słomy, którą jestem od pięciu miesięcy i która przeznaczona jest, jak się wydaje, do tego, aby latem ją podpalić i aby spłonęła szybciej, niż widz mrugnie okiem. Gdybyż choć to chciało się ze mną stać! I niech stałoby się to ze mną po dziesięciokroć, bo nawet nie odczuwam żalu z powodu owego nieszczęśliwego czasu. Mój stan nie jest nieszczęściem, ale nie jest to także szczęście, nie obojętność nie słabość, nie znużenie, nie inne jakieś zainteresowania, a więc cóż takiego? To że tego nie wiem tłumaczy się zapewne moją niezdolnością do pisania. Tę zaś, jak sądzę, rozumiem, nie znając jej przyczyny. Mianowicie wszystkie rzeczy które mi przychodzą do głowy, przychodzą do niej nie od korzeni, lecz gdzieś dopiero od ich środka. Niech no ktoś spróbuje teraz tego się trzymać, niech teraz spróbuje utrzymać trawę a na niej siebie gdy tak ta trawa poczyna wyrastać dopiero od połowy łodygi. Potrafią tak pewnie nieliczni np. japońscy akrobaci, którzy wspinają się po drabinie, stojącej nie na ziemi, lecz na trzymany w górze podeszwach na pół leżącego człowieka, nie opartej na dodatek o ścianę lecz wznoszącej się w powietrzu. Tak nie potrafię, nie mówiąc o tym, że moja drabina nawet nie ma do dyspozycji wspomnianych podeszew. To oczywiście nie wszystko, i takie zapytanie nie skłoni mnie jeszcze do mówienia. Ale trzeba, aby każdego dnia przynajmniej jedna linijka była we mnie wycelowana tak jak teraz teleskopem celuje się w kometę. Gdybym kiedyś zjawił się przed owym zdaniem, zwabiony owym zdaniem, tak jak to było np. w ostatnie Boże Narodzenie, gdy byłem tak daleko, że ledwie mogłem się wziąć w garść, i gdy rzeczywiście wydawało się, że znajduję się na ostatnim stopniu mojej drabiny, która jednak stała spokojnie na ziemi i przy ścianie. Ale jakiej ziemi! Przy jakiej ścianie! A mimo to drabina nie spadła, tak mocno przyciskały ją do ziemi moje stopy, tak mocno trzymały ją przy ścianie moje stopy.

(Franz Kafka, *Dzienniki*, przeł. Łukasz Musiał, Łódź 2022, s. 10-11)